

Ciemna strona działalności służb specjalnych.
Zakulisowe sprawowanie władzy.



PIOTR KOŚCIELNY
ZAKON



PIOTRKOŚCIELNY

ZAKON

Text © copyright by Piotr Kościelny

Copyright for this edition © 2025 Dark Books

Wydanie drugie, Głogów 2025

Korekta i redakcja
Katarzyna Wróbel

Skład i łamanie
Studio Grafpa

Projekt okładki
Anna Mindziukiewicz

Fotografia na okładce
iStock

Druk i oprawa
Totem.com.pl

Książka wydana przez Dark Books

Wszystkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej książki w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie metodą elektroniczną lub inną powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

ISBN: 978-83-954971-0-0

ISBN e-book EPUB: 978-83-954971-1-7

ISBN e-book Mobi: 978-83-954971-2-4

Świat jest rządzony przez całkiem inne osoby, niż się to wydaje i tylko ci, którzy potrafią zajrzeć za kulisy, wiedzą kto to jest. Rządy nie rządzą, a jedynie kontrolują machinę rządową, same będąc kontrolowane przez niewidzialną rękę.

Benjamin Disraeli

Rozdział I

Irak, 1 kwietnia 2005 r., godz. 6:20

Zwoliński

Ten dzień zapowiadał się wyjątkowo. Co roku moja żona i dzieci próbowaly zrobić mi numer z okazji prima aprilis. Za każdym razem udawałem, że daję się nabrać. Wyjątkowość tego dnia polegała na tym, że dziś nabrać się nie zamierzałem. Byli za daleko, a połączenia z krajem z tak błahych powodów były raczej niemiłe widziane. Po prostu nie przystawały, zwłaszcza osobie zajmującej w sumie dosyć ważne i poważne stanowisko w Polskim Kontyngencie Wojskowym w Iraku. Bo czy kapitanowi Żandarmerii Wojskowej wypadało łączyć się z krajem, aby udawać, że się dało nabrać? Zwłaszcza że od dawna podejrzewałem, że telefony są na podsłuchu. Kto słuchał? Albo nasi, albo specjaliści „Wielkiego Brata”.

Był też jeszcze inny powód. Z Magdą ostatnio nam się nie układało. Przed moim wyjazdem na misję ciągle się kłóciliśmy. Powody były różne – a to brak kasy, a to moje ciągłe nieobecności w domu. Ale wychodząc za mnie, wiedziała przecież, że jestem młodym oficerem Wojska Polskiego. Wiedziała, że kokosów w wojsku się nie zarabia.

No chyba że na boku czymś się handluje. W tym jednak problem, bo takich, co handlowali, ja właśnie łąpałem. Zastanawiałem się, czy te powody do kłótni nie mają jakiegoś drugiego dna. Czy Magda nie ma kogoś na boku. Najbardziej z astanawiające były jej ciągłe wizyty u matki tuż przed moim wyjazdem. Rozumiałem niedzielny obiad u rodziców, ale codzienne wyjazdy do matki i powroty po dwóch godzinach wydawały się co najmniej zastanawiające.

Tak jak sobie już wcześniej obiecałem, po powrocie do kraju zamierzałem się tym zająć. Musiałem sprawdzić, czy coś jest na rzeczy. Wszak dziwnie wyglądałby oficer żandarmerii z beretem wiszącym na rogach.

Ten drobny żart wywołał uśmiech na mojej twarzy i sprawił, że poczułem, że ten dzień nie musi być jednak taki zły. Z rozmyślań wyrwał mnie dźwięk telefonu. Wahałem się, czy odebrać, jednak sumienność spowodowała, że sięgnąłem po aparat.

– Kapitan Zwoliński, słucham.

– Panie kapitanie, melduje się oficer dyżurny, porucznik Płytnik. Panie kapitanie, ma się pan natychmiast stawić u pułkownika Ciska – usłyszałem głos w słuchawce.

– Będę za dwadzieścia minut – odpowiedziałem.

– Panie kapitanie, otrzymałem wyraźny rozkaz do przekazania, że ma się pan stawić w trybie natychmiastowym. Powiem więcej. Pułkownik powiedział, cytując: „Ma się stawić natychmiast, nawet jakby srał, to ma się stawić u mnie. Dupę podetrze na miejsu”.

Chcąc nie chcąc dopiąłem guziki bluzy i wyszedłem z namiotu. Po chwili uderzyła we mnie fala gorąca i

poczułem, że już się lepiej. Droga do biura pułkownika zajęła mi dwie minuty. Przed wejściem zobaczyłem kilka osób. Wśród oficerów stał porucznik Strzelczyk z GROM-u, cicho rozmawiający z majorem Dudziakiem, pilotem śmigłowca. Podeszedłem do nich.

– Cześć, chłopaki, co to za nagła sprawa? Wiecie coś?

– Ooo, a pan śledczy to chyba powinien wiedzieć więcej od nas – zażartował major Dudziak.

– Szczegółów zaraz się dowiemy, ale wiem, że stary jest mocno wkurwiony – powiedział ktoś z boku.

Spojrzelśmy we trójkę w stronę głosu. Obok stała kapitan Marta Nowakowska, lekarz Polskiego Kontyngentu Wojskowego.

– Ponoć o piątej rano dostał telefon z kraju – dodała. – Po tym tak zaczął rzucać chujami, że uszy więdły. Nigdy tak się nie zachowywał, więc coś jest na rzeczy.

Po chwili drzwi się otworzyły i w progu stanął pułkownik Ambicki, szef sztabu. Gestem zaprosił czekających do środka. Wszyscy karnie weszliśmy i zauważyliśmy, że dowódca postarzał się w ciągu kilku ostatnich godzin, odkąd widzieliśmy go na kolacji. Nawet głos mu się zmienił.

– Panowie oficerowie i pani kapitan. Wezwałem was tutaj o tak wczesnej porze i w trybie natychmiastowym z powodu dzisiejszego porannego telefonu z kraju. Otrzymałem rozkaz z Warszawy, aby przygotować bazę do wizyty kilku osobników. Mamy wydzielić część obozu do ich wyłącznej dyspozycji. Mamy zapewnić im wszystko, czego sobie zażyczą, i wykonywać wszystkie ich rozkazy. Powiem więcej. Mam

rozkaz spełnić każde ich życzenie. Jak powiedział minister, gdyby zażyczyli sobie, żebym zrobił im łaskę, to mam ściągnąć beret i uklęknąć. Powiem państwu, że nikt mnie tak nie upokorzył w całej mojej dotychczasowej karierze wojskowej. A upokorzenie mnie to także upokorzenie całego kontyngentu. Czy są jakieś pytania?

Spojrzelismy po sobie. Pierwszy odezwał się major Dudziak.

– A co to za goście? Wiadomo coś? Jakies cioty z Sejmu? Ostatnio jak była ta głupia cipa z partii rządzącej, to się wymądrzała, a jak ją wziąłem na przejażdżkę wązką, to myślałem, że smrodu kupy z tydzień nie usunę.

Na twarzy dowódcy pojawił się lekki uśmiech. Po chwili się odezwał:

– Z tego, co mi wiadomo, to nie będą żadne miśki z polityki. Tamci przylatują, położą, porobią sobie fotek i spierdalają. Potem chwalą się wielce na salonach, w jakich to niebezpiecznych miejscach byli. A w dupie byli i gówno widzieli. Ci goście to jednak inna para kaloszy. Mają dostać wydzielony fragment obozu, z płotem, zasiekami, osobną kuchnię. Jakiegokolwiek zdanie mam na ich temat, to rozkaz jest rozkaz i trzeba go wykonać.

– A kiedy te orły mają się zjawić? – zapytał porucznik Strzelczyk.

– Dzisiaj, koło południa.

– Kurwa, nie zdążę im przygotować tego jebanego obozu – stwierdził kapitan Wiśniewski z batalionu inżynieryjnego.

– Szanowni oficerowie, przed nami trudne zadanie, więc jednak proponuję, żeby zacząć się brać do roboty. Co się robi, to się robi. Czego się nie zdąży, to trudno.

Proszę się rozejść do zajęć. Pan, panie kapitanie Zwoliński, niech jeszcze chwilę zostanie.

Zgromadzeni opuścili biuro. Zostałem tylko ja, szef sztabu i pułkownik.

– Panie kapitanie, jest pan oficjalnym przedstawicielem prawa w tej bazie. Ma pan reagować na każde naruszenie kodeksów, praworządności i regulaminów, prawda? – zapytał dowódca.

– Tak, panie pułkowniku. Takie mam zadania – potwierdziłem.

– Już nie, panie kapitanie – odezwał się milczący dotąd szef sztabu.

– Nie rozumiem, panie pułkowniku. Ktoś mnie zastąpi? Jakiś oficer ma zająć moje miejsce? Nie otrzymałem żadnego pisma, żadnego rozkazu od swoich przełożonych – stwierdziłem ze zdziwieniem.

– I nie otrzyma pan, kapitanie – powiedział dowódca. – Mam rozkaz z samej góry, aby panu przekazać, że nasi goście są nietykalni. Nie obowiązują ich żadne regulaminy i żadne kodeksy. Nawet jakby pan zobaczył, że gwałcą kucharza, to ma pan odwrócić głowę, a w razie ich prośby pomóc im go trzymać. Zrozumiał pan, kapitanie?

Oślupiałem. Nigdy w mojej karierze nie zdarzyło się, aby ktoś w tak jasny sposób wytłumaczył mi, że są na tej ziemi ludzie stojący ponad prawem. Próbowałem jeszcze protestować.

– Panie pułkowniku, z całym szacunkiem, ale honor żołnierza Wojska Polskiego nie pozwala mi tego zaakceptować. Proszę o wydanie tego rozkazu na piśmie, abym mógł zgodnie z prawem odmówić jego wykonania.

– Panie kapitanie, do kurwy nędzy, pan mówi o honorze żołnierza? My nie jesteśmy żołnierzami, tylko najemnikami na usługach Wielkiego Brata, mającymi bronić ich interesów w handlu ropą. Żołnierzami przestaliśmy być w momencie zaangażowania się w tę głównianą wojnę – stwierdził dowódca. – Ale panie pułkowniku... Przerwał mi szef sztabu:

– Kapitanie Zwoliński, proszę się nie unosić, jesteśmy w podobnej sytuacji jak pan. Cały kontyngent jest w gównie. Polecenie z góry jest wyraźne, a wszelkie próby niewykonania rozkazu mają być karane aresztem w trybie natychmiastowym. Działania naszych gości leżą w szeroko pojętym interesie państwa i są objęte zarówno najwyższym priorytetem, jak i najwyższą tajemnicą. Nie pozostaje nam nic innego, jak zacisnąć zęby, czekać, aż oni wyjadą, i modlić się, by byli u nas jak najkrócej. Rozumiem pańskie wątpliwości. My mamy podobne. Gdy przyjadą nasi goście, chcemy, by był pan obecny u dowódcy. W razie konieczności i złamania przez nich prawa za jakiś czas, może po zmianie władzy, ktoś zapewne będzie chciał pociągnąć ich do odpowiedzialności za czyny, jakich mogą się dopuścić. Wtedy się pan wykaże i oczyści swój honor. Teraz jednak proszę odmaszerować.

Nie mogąc wyjść z szoku, odmeldowałem się i postanowiłem skontaktować się ze swoimi przełożonymi w Warszawie. Zgłosiłem oficerowi dyżurnemu bazy konieczność skontaktowania się z krajem. Po około dziesięciu minutach oczekiwania zostałem połączony. Ku mojemu zdziwieniu połączono mnie z samym komendantem głównym Żandarmerii Wojskowej, generałem brygady Jackiem Drylem.

– Kapitan Zwoliński? – usłyszałem w słuchawce. – Jest pan naszym oficerem w Iraku?

– Tak jest, panie generale.

– Jaka pogoda?

– Panie generale, z całym szacunkiem, ale nie dzwonię, aby rozmawiać o pogodzie. Dzwonię, ponieważ...

Nie zdążyłem dokończyć, gdy komendant główny mi przerwał:

– Panie kapitanie, ja wiem, w jakiej sprawie pan dzwoni. Proszę mi wierzyć, ja też mam związane ręce. Też mam swoje rozkazy. Nie mam zamiaru słuchać, w jakiej sprawie pan dzwoni. Wolę porozmawiać o pogodzie.

Tak jak panu przekazano, kapitanie, ma pan wykonywać wszystkie polecenia gości bazy i zapomnieć o rozmowie ze mną. Ja już jej sobie nie przypominę. Czy wyraziłem się jasno? Aaaa i bym zapomniał... Niech pan na czas wizyty gości weźmie sobie leżaczek i trochę się poopala, bo jak podejrzewam, zrobił się pan coś ostatnio z deczka błady.

Żegnam.

Odgłos odkładanej słuchawki uświadomił mi, że rozmowa się zakończyła i ktoś, kto wysłał gości do Iraku, jest potężniejszy, niż początkowo mi się mogło wydawać.

Widząc, że dalsze próby uzyskania jasnych odpowiedzi na nurtujące mnie pytania nie mają sensu, postanowiłem udać się do swojego biura, aby napisać pełny raport z wydarzeń dzisiejszego poranka. Uzmysłowiłem sobie, że gdyby ta cała sytuacja wyszła na jaw, to ktoś będzie kozłem ofiarnym. Wtedy polecą głowy, i to na wysokich stołkach. Jedno było pewne –

moja poleci jako jedna z pierwszych. Oczyma wyobraźni widziałem ją turlającą się po podłodze. Po chwili jednak przyszło olśnienie. – Kurwa! Dziś pierwszy kwietnia, prima aprilis! Ale dałem się nabrać... Zastanawiałem się, kto wpadł na pomysł takiego żartu – dowódca czy szef sztabu. Nie miałem pojęcia, jak udało im się namówić komendanta żandarmerii, aby wraz z nimi zrobił sobie jaja z oficerów Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Iraku. Postanowiłem nie zajmować się tym dłużej i usiadłem przy biurku, aby przejrzeć bieżące sprawy. Po jakimś czasie, dopijając kolejną kawę tego dnia, usłyszałem dziwne poruszenie na zewnątrz. Wyszedłem i zobaczyłem biegnącego w moją stronę oficera dyżurnego bazy.

Zasapany porucznik szybko oddał honory i ledwie łapiąc oddech, wykrztusił:

– Panie kapitanie, dowódca wzywa pana do siebie. Kazał powiedzieć, że już lecą i będą za pięć minut.

Spojrzałem na zegarek. Wskazówki pokazywały godzinę 11:55.

Po chwili kilka osób zaczęło pokazywać sobie na niebie od zachodniej strony trzy małe punkciki, które z każdą sekundą się powiększały. Nadlatywały śmigłowce z gośćmi, których nikt tu nie wyczekiwał.

Irak, 1 kwietnia 2005 r., godz. 10:03

„Duch”

Piękne majowe słońce, polana usiana czerwonymi makami... Na polanie rozłożony koc, a na nim siedzi

Gośka i uśmiecha się do mnie... Po chwili jej zmysłowe usta się otwierają i słysząc cichy szept: „Piotruś, nie odchodź...”.

Po chwili poczułem mocne szarpnięcie za rękaw. Resztki snu uciekły, a wyćwiczony umysł od razu zorientował się, gdzie znajduje się moje ciało. Byłem w śmigłowcu, jednym z trzech, jakie leciały po niebie tego piaszczystego kraju. Spojrzałem na osobę, która mnie obudziła. To major Rechulski, pseudonim „Konar”, jeden z wyższych oficerów wywiadu wojskowego WSI. Po chwili „Konar” z uśmiechem stwierdził:

– Co, żuczku? Śniły ci się jakieś szparki? Chyba pierwszy raz widziałem uśmiech na twarzy „Ducha”. Wstawaj i sprawdź łączność z oddziałami „Harnasia” i „Krochmala”.

– Nie mów do mnie żuczku. Wiesz, że nie lubię takich pedalskich gadek. A ty dlaczego jesteś „Konar”? Chyba nie od wielkości fiuta, bo widziałem cię pod prysznicem na szkoleniu w Zakopanem. Konaru to nie przypominało – odpowiedziałem szyderczo majorowi.

– Czemu „Konar”? Bo na nim kiedyś zawisnę, podobnie jak my wszyscy – odparł.

Pozostali członkowie oddziału zarechotali śmiechem.

Kim byliśmy?

Ja nosiłem pseudonim „Duch”, byłem porucznikiem Wojskowych Służb Informacyjnych. Nazwisko nie miało znaczenia. Kiedyś nazywałem się Piotr Pleban. Potem używałem różnych nazwisk, w sumie kilkudziesięciu. Co ciekawe, nigdy mi się nie zdarzyło, żebym miał papiery wystawione na najbardziej popularne nazwiska typu Nowak lub Kowalski. Nazwiska były powiązane z różnymi służbami. Byłem już oficerem policji, oficerem

ABW i oficerem Agencji Wywiadu. Zdarzało mi się być przedsiębiorcą z branży paliwowej, właścicielem kilku biznesów. Wszystko w służbie ojczyzny.

W maszynie obok mnie znajdowali się „Konar”, „Arni”, „Wezyr”, „Wacek” oraz „Świniak”. W drugiej maszynie siedział „Harnaś” i pięciu chłopaków z oddziału specjalnego. W trzeciej dowódcą był „Krochmal” i leciało w niej także pięciu specjalsów. Wszyscy byliśmy „wieśniakami”. Każdy z nas przeszedł wiele szkoleń, ćwiczyliśmy z chłopakami z wielu oddziałów specjalnych, zarówno z GROM-u, jak i Formozy. Każdy przeszedł szkolenie podstawowe, a specjalsi ćwiczyli nadal z innymi jednostkami specjalnymi – niektórzy byli na etatach, zarówno u nich, jak i u nas.

Skąd te ksywy? „Arni” – chorąży, przezwany tak z powodu gadki, jakiej używał, gdy kogoś rozwał. Zawsze mówił: „Hasta la vista, baby...”. „Wezyr” – sierżant. Gdy został ranny w czasie jednej z misji na Bliskim Wschodzie, ewakuowano go na dywanie. Dosłownie był zawinięty w dywan. Szkoda, że dywan nie był latający. „Wacek” – kapitan. Stary dziadzio, na oko 60-letni. Kiedyś schlał się na jakimś firmowym spotkaniu i biegał za kelnerkami, krzycząc: „Chcesz zobaczyć mojego wacka?”. „Świniak” – sierżant. W trakcie którejś z imprez, po pijaku, przechwalał się, że zje całego pieczonego świniaka. Bestia przyniesiona na tacy sporo ważyła. A ten ją zjadł. W czasie uczty zmieniał barwy twarzy – począwszy od zielonego, poprzez biały, a na czerwonym kończąc. „Harnaś” – porucznik. Ulubione piwo to „Harnaś”. „Krochmal” – podporucznik. Kiedyś miał się stawić u szefa, aby dostać jakiś kawałek blachy

zwany medalem. Miał być w mundurze galowym. Kawaler nie wiedział, że munduru nie powinno się krochmalić. Śmiechu było co niemiara. Dobrze, że kamer telewizyjnych nie było. Zresztą jak zawsze, taka robota. Na mnie mówili „Duch”. Skąd ta ksywa? Jedna wersja była taka, że szybko działam i znikam jak duch. Inna, może bliższa prawdzie, to taka, że z każdej z imprez, jakie organizowaliśmy, starałem się jak najszybciej ulotnić. Nie dlatego, że nie lubiłem alkoholu, ale dlatego, że prędzej czy później ktoś obrzygiwał mi buty.

Byłem zatem na pokładzie śmigłowca. Co wiedziałem o misji? Jak dotąd niewiele. Zostałem wezwany w trybie nagłym i jedynie „Konar” wszystko wiedział. Każdy z nas otrzymał tylko wycinek informacji dotyczący swoich działań. Całościowa wiedza dotycząca misji nie jest potrzebna do szczęścia. W razie wpadki im mniej wiesz, tym mniej możesz zdradzić. A co się z tym wiąże – dłużej żyjesz. Ja wiedziałem tylko tyle, że mam przesłuchać jakichś jeńców. Miałem od nich uzyskać informacje o miejscu pobytu pewnego Irakijczyka. Żadnego terrorysty. Zwykłego faceta, który miał to nieszczęście, że kiedyś studiował w Polsce i poznał tam pewnego Polaka. A ten Polak miał to nieszczęście, że wynalazł pewne urządzenie, na którym zależało naszym władzom. Tak się pechowo złożyło, że ten Polak strzelił samobójca, zanim nasze służby przejęły efekty jego prac. Żmudna praca operacyjna pozwoliła ustalić, że nasz naukowiec wysłał przesyłkę do Bagdadu, do swojego przyjaciela ze studiów. Prawdopodobnie w przesyłce znajdowało się urządzenie, o które nam chodziło, wraz z dokumentacją techniczną. Za taką wersją przemawiał fakt, że po otrzymaniu przesyłki nasz Irakijczyk zniknął i

zerwał kontakty z rodziną. Nasze służby wywiadowcze doniosły, że o miejscu jego pobytu może wiedzieć kilku członków jego rodziny – dwaj bracia i ojciec. Naszym zadaniem było ujęcie ich i zmuszenie do mówienia. Ojciec ukrył się podobno w wiosce Al-Nusra-el Sahid, oddalonej o 40 kilometrów na wschód od Bagdadu. Bracia natomiast mieli przebywać w wiosce Ibn-am Narkam, znajdującej się 60 kilometrów na zachód od stolicy kraju. Grupa „Harnasia” miała ująć starego, a grupa „Krochmala” zająć się braćmi. Śmigłowce wylądowałyby na 5 minut, a w tym czasie dwie grupy poszukiwałyby celów. Następnie maszyny ponownie miały wzlecieć w powietrze i skierować się do bazy Polskiego Kontyngentu Wojskowego.

Tak pokrótce wyglądał plan. Czy misja się powiedzie? „Konar” przekazał nam, że „Wielki” nas ozłoci, jeśli się uda. A jak się nie postaramy, to nasze życie będzie gównem. Ciekawie nas zmotywował. „Wielki” to sam dowódca Wojskowych Służb Informacyjnych, generał brygady Marian Dobrowolski. Skoro szef miał nas ozłocić, to warto było dobrze wykonać robotę. Zresztą zawsze tak robiliśmy. O to szefostwo nigdy nie musiało się martwić. Ta misja od początku jednak wyglądała na inną niż wszystkie dotychczas. Po pierwsze, wezwano nas w trybie alarmowym, nagłym. Rzadko mieliśmy do czynienia z takim sposobem działań. Z reguły każda operacja była planowana kilka dni, rozpatrywano różne warianty. Teraz wyglądało na to, że informacja o miejscu pobytu celów misji pojawiła się nagle i szefostwo bało się zgubić trop. Zastanawiała też wielkość naszej grupy. Dotychczas działaliśmy w mniejszych zespołach, w różnych

konfiguracjach, ale nigdy liczba głównych wykonawców nie przekraczała czterech. A tutaj etatowych było dwukrotnie więcej. Bez liczenia specjalsów. Oni mieli tylko osłaniać i w razie konieczności likwidować wskazane przez nas cele. Kolejną rzeczą dającą do myślenia było to, że w razie potrzeby mogliśmy na miejscu wykorzystać stacjonujących tam żołnierzy GROM-u. Oczywiście nie mieli prawa poznać szczegółów. Ich zadaniem było tylko wykonać nasze polecenia. To wszystko pozwalało spekulować, że cel naszej misji był wyjątkowo ważny – albo dla kraju, albo dla szefostwa naszej służby. Tak jak wcześniej wspomniałem, tylko „Konar” wiedział, jak się nazywa interesujący nas Irakijczyk i jakiego urzędnika szukamy. My mieliśmy tylko wykonać powierzone nam zadania.

Z tych rozważań wyrwał mnie głos dowódcy misji, majora Rechulskiego:

– Może się, żuczku, obudzisz w końcu? Miałeś sprawdzić łączność. Za trzy minuty lądujemy.

– Mówiłem ci już, że nie lubię tych pedalskich gadek. Po co się ciskasz? Trzy minuty to kawał czasu, więc zdążę – odpowiedziałem.

– To rób, żuczku, rób – odparł „Konar”.

– Zero dwa do dwa dwa sześć zgłoś – wywołałem zespół „Harnasia”.

– Zgłasza zero dwa – dało się słyszeć w słuchawce głos dowódcy grupy mającej za zadanie uprowadzić ojca naszego poszukiwanego.

– Zero dwa, lądujemy za dwie minuty dwadzieścia sekund. Sprawdzić wyposażenie, bez odbioru – zakomenderowałem.

Po chwili wywołałem zespół „Krochmala” i poleciłem im zrobić to samo. Następnie zwróciłem się do „Konara”:

– Było tyle płakać? Z wiekiem robisz się marudny jak baba.

– Oj, żuczku, żuczku. Mówiłem ci, że mam zamiar odejść na emeryturę? Swoje odsłużyłem. Czas przejść do prywatnego biznesu. Kasa większa, częściej w domu. Córka w tym roku maturę pisze, potem pójdzie na studia i zostanie kimś. A jej stary kupi sobie działkę i będzie tam spędzał dużo wolnego czasu.

– Działkę to możesz kupić od pierwszego lepszego diler. Chłopie, nie wyobrażam sobie ciebie, jak sadzisz pietruszkę i podlewasz marchewkę. Biznes prywatny dobra rzecz, ale ilu znasz chłopaków od nas, co z roboty odeszli, a po roku byli wrakami człowieka? Prawie każdy. Robota uzależnia. Adrenalina, te sprawy... Na działce długo nie usiedzisz – stwierdziłem.

– Ja to bym chyba se w łeb strzelił, jakbym się dowiedział, że na emeryturę idę – włączył się do rozmowy „Wacek”.

– Ha, ha, chłopie, zapomniałem ci powiedzieć. To twoja ostatnia misja, idziesz na emeryturę – powiedział „Konar”. – Przechodzisz do sektora prywatnego. „Wielki” stwierdził, że dobrze byś wyglądał jako prezes firmy paliwowej. Garnitury, fury, obiadki, sekretarka. Życie nie umierać.

– Że co, kurwa? – oburzył się „Wacek”. – Nie chcę iść do żadnej firmy. Na paliwie się nie znam, na chuj mi to? Garnitury i sekretarki spoko, ale na zarządzaniu się nie znam.

– A kto ci każe się znać? Będziesz się spotykał, woził furką i jak przyjdzie pora, to znikniesz. A wraz z tobą kilka cystern paliwa. A może kilkadziesiąt... Ha, ha. Wiesz, że finansowanie naszej działalności z budżetu jest małe, a robota kosztuje. Trzeba brać środki z każdego źródła. Ty zostaniesz prezesem firmy paliwowej, a ja konsultingowej. W tym kraju jest w chuj firm państwowych, które tylko czekają, żeby je wydoić. Orlen. KGHM. Chłopie! Żyła złota i niewyczerpane źródła dopływu kasy. Zarówno dla nas, jak i dla „Wielkiego” – stwierdził z uśmiechem „Konar”.

W tym momencie w głośniku zabrzmiał głos pilota:

– Lądujemy za dziesięć sekund.

Spojrzałem przez okno. W dole stały cztery terenowe toyoty i czterech ludzi ubranych w arabskie stroje. Z boku widziałem lądujący śmigłowiec, w którym siedział „Krochmal” i jego grupa. Trzeci śmigłowiec był 40 metrów dalej. Po wylądowaniu wszystkich maszyn piloci wyłączyli silniki. W tym momencie ze śmigłowców wybiegli wszyscy uczestnicy misji. Szybko zaczęli ładować sprzęt i broń do wnętrza aut terenowych. Ja z „Konarem” podeszliśmy do oczekujących nas mężczyzn.

– Cześć, „Duch”, cześć, „Konar”. Spodziewaliśmy się was – rzekł mężczyzna, którego wygląd i sposób zachowania sugerował, że dowodzi grupą oczekującą naszego przybycia.

– Cześć, czarny Ali Babo – odpowiedział „Konar”.

– Cześć, „Mazut”, nie obrażaj się za tego Ali Babę – powiedziałem. – „Konar” ma dzisiaj wyjątkowy nastrój... Na emeryturę chce się ptaszyna wybrać. Co to za ludzie? – zapytałem, wskazując na pozostałych trzech

mężczyzn, przypatrujących się załadunkowi sprzętu do pojazdów.

– Jeden to od nas – odpowiedział „Mazut”. – Młody, rok w służbie. Ale ma jedną zaletę – jego wujek pracował u nas do zeszłego roku. Zwykły „plecak”, co na plecach rodziny się wdrapał. Ale chuj z nim. Ja mam tylko uważać, żeby nie podnosił niczego z ziemi, co by mu łapek nie urwało. Gdyby nie wujek, to jedyną robotą na miarę jego możliwości intelektualnych byłoby przeprowadzanie dzieci przed szkołą. Jedyne, co mnie cieszy, to fakt, że jemu się tu nie podoba i dzwonił już do wujka, że chce do kraju. Po waszej akcji z miłą chęcią się z nim pożegnam. Ma odlecieć razem z wami.

– No chyba że mu głowę urwie, jak wsadzi, gdzie nie trzeba – uśmiechnął się „Konar”. – Ale wtedy najwyżej do kraju wróci w s talowej trumnie. Jak by nie patrzeć, w kraju się w końcu znajdzie. A pozostali?

– A to moi agenci, Sahim i Ahmed. Irakijczycy, ale robią dla mnie od czterech lat. Nigdy nie zawiedli – stwierdził „Mazut”.

– Cztery lata to długo. Za długo. Wiesz, jakie jest zadanie? I wiesz, co trzeba zrobić po zadaniu? – zapytał.

– Czy to konieczne? Ciężko będzie mi znaleźć nowych chłopaków. Wiesz, jak tutaj jest? Nikt już nie chce z nami współpracować. Odkąd zaangażowaliśmy się z przyjaciółmi zza oceanu, wszystko zaczęło się pierdolić – rzekł „Mazut”.

– Niestety, nikt nie może wiedzieć, co tutaj się dzieło – powiedziałem. – Rozkaz jest wyraźny – wszyscy mają zostać zlikwidowani. Przeżyć mogą tylko wybrani. Niestety, ale obaj muszą się pożegnać z robotą dla nas.

Ale przynajmniej przestaną się zamartwiać, co będą robić na emeryturze. – Odwróciłem się z uśmiechem do „Konara”.

– Rozumiem. Rozkaz to rozkaz. Sentymentów nie ma – stwierdził z żalem „Mazut”. – Poszukam nowych. Ważne, żeby się „plecaka” pozbyć.

– Dobra, idź zobacz, jak idzie załadunek – rzekł „Konar” – i zawołaj mi tu moich chłopaków.

Gdy mężczyzna odszedł, „Konar” odwrócił się do mnie.

– Szkoda chłopaka. Nie poszuka sobie nowych agentów. Ale medal dostanie. Tyle że pośmiertnie. A „plecak” wróci do kraju w stali.

Popatrzyłem na majora i przez głowę przeszła mi myśl, że kiedyś może i ja dostanę taki medal. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś zadecyduje, że nadszedł kres mojej pracy.

Z tej ponurej wizji wyrwało mnie nadejście grup uderzeniowych. Dowódca naszej akcji rzekł:

– Słuchajcie, dzielcie się na dwie grupy. Jedna jedzie z „Mazutem” i jednym ciapatym, a druga z plecakiem i tym drugim ciemnym. Wykonujecie zadanie i spierdalacie do punktów zbornych. Stamtąd wysyłacie sygnał. Po wysłaniu likwidujecie naszych przewodników. My przylatujemy na ważkach i zabieramy was do bazy. Na miejscu reszta wykonuje swoje zadania. Po uzyskaniu informacji lecimy całą grupą i łapiemy główny cel naszej misji. Następnie wracamy do bazy i wyfruwamy do kraju. Wszystko jasne?

Wobec tego wypierdalać.

Obie grupy uderzeniowe rozbiegły się do samochodów, a pozostali wolnym krokiem udali się do

oczekujących nas śmigłowców. Po chwili maszyny wzniosły się w powietrze i skierowały się do bazy Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Iraku.

Rozdział II

Warszawa, 1 kwietnia 2005 r., godz. 7:30

Po odłożeniu słuchawki telefonu generał Jacek Dryl spojrzał na siedzących w jego gabinecie ministra obrony narodowej Janusza Krasuckiego i generała Dobrowolskiego z WSI. Obaj mężczyźni uśmiechali się do niego.

– Co wy, kurwa, odpierdalacie? – zirytował się komendant żandarmerii. – Przecież za takie coś grozi sąd i pierdel na długie lata. A jak potem ten Zwoliński będzie drażył temat?

– To się go odpierdoli – stwierdził dowódca WSI. – Albo wlezie na minę w Iraku. Albo ktoś w ciemnej uliczce go nożem dziabnie.

– Czy ty oszalałeś? – powiedział Dryl. – Jak sobie wyobrażasz zabicie jednego z moich oficerów? Kurwa, chłopie. Czasy ubeckie się dawno skończyły.

– Jesteś pewien? – zapytał generał Dobrowolski. – Czasy się skończyły, ale ludzie pozostali. Pozwól, że ci wyjaśnię sytuację. Zobaczysz, że to, że jakiś kapitan

zginie, nie ma znaczenia w porównaniu z tym, co chcemy osiągnąć. Z twoją pomocą.

– No to dawaj. Oby to było warte wysłuchania.

– Spójrz na siedzącego tutaj ministra. W tym roku wybory. Jak myślisz, jakie ma szanse na pozostanie na swoim stanowisku? Zerowe. A żyć trzeba. Jak myślisz, co zrobi nowy minister? Odwoła także szefów policji, ABW, żandarmerii. Mnie nie ruszy. Mam haki zarówno na aktualnie rządzących, jak i na ich potencjalnych zastępców. Kogo się nie zastraszy, to się przekupi. Kto nieprzekupny, ten w razie konieczności popełni samobójstwo lub będzie miał wypadek. Do tej pory wszystko zrozumiałeś?

Komendant skinął głową, analizując usłyszane informacje. Zaczął się zastanawiać nad ostatnimi doniesieniami medialnymi. Wiceprezes Orlenu poleciał do Egiptu i utopił się podczas nurkowania. Media się dziwiły, bo facet był wprawnym nurkiem, a nie zauważył, że butla z tlenem była uszkodzona. Niby się zaplątał nogą o jakiś wrak i udusił z braku tlenu. Dziwny wypadek, zastanawiający. Pytanie, czy rzeczywiście wypadek.

Szef WSI kontynuował:

– Więc... Jak już się zmieni władza, to trzeba miękko wylądować. Ja i kilka osób założyliśmy pewną organizację. Jak może pamiętasz z afery tego reżysera, co poszedł do redakcji pewnej gazety, rzekomo wysłała go „grupa trzymająca władzę”. My wolimy nazwę „Zakon”. Kiedyś może ci wyjaśnię pochodzenie tej nazwy. Teraz wróćmy do meritum. „Zakon” założył kilka fundacji, kilka spółek. Mamy swoich ludzi w firmach państwowych, w urzędach. Mamy wpływ na wiele kluczowych decyzji w tym kraju. Na nasze skinienie

premier będzie tańczył, jak mu zagramy. On o nas nie wie, ale w razie potrzeby potrafimy poprzez pewne osoby na niego wpływać. W razie konieczności możemy go przekupić lub zorganizować mu samobójstwo. Chociaż łatwiej spowodować wypadek. Pamiętasz, jak jakiś czas temu pewien premier szczęśliwie ocalał z wypadku śmigłowca? Zaczął fikać, ale po tym podkulił ogon i ponownie wrócił do zaprzęgu. Jak widzisz, mamy wpływ na wiele rzeczy. Sami ustalamy, kto w tym kraju jakie stanowisko zajmie. To my decydujemy, kto będzie premierem, a kto prezydentem. A te ryje już się opatrzyły, więc będzie nowe rozdanie. Ale nie o to chodzi w tej grze. Słyszałeś o profesorze Malinowskim z WAT? – zapytał Dobrowolski.

– Słyszałem – potwierdził Dryl. – Nawet wszczęliśmy dochodzenie w sprawie jego samobójstwa. Nie zostawił listu pożegnального. Mieliście z tym coś wspólnego?

– O nie... No, może trochę. Zabił się sam, rzeczywiście, ale dlatego, że nie chciał z nami współpracować. Otóż wielce szanowny profesor wynalazł, stworzył pewien układ scalony, sterownik. Supernowoczesny. Nikt czegoś takiego nie ma. To jest krok milowy w technologii wojskowej i cywilnej. To tak, jakby na koronację Bolesława Chrobrego przylecieć śmigłowcem. Ale oprócz tego, że to skok technologiczny, ten sterownik ma pewną bardzo ważną funkcję. Jego produkcja jest poza tym wyjątkowo tania, więc może być masowo montowany w każdym urządzeniu. W czołgach, samolotach, w systemach sterujących rakietami. Każdy nasz sojusznik będzie go chciał mieć w swoim sprzęcie. Nasi wrogowie też go z chęcią zakupią. Co my z tego

mamy? Otóż „Zakon” rozpocznie jego dystrybucję i zarobi na tym miliardy. Jak już wszyscy go od nas kupią, zostaniemy władcami świata. Nasi kontrahenci nie będą bowiem wiedzieć o jeszcze jednej dodatkowej funkcji tego sterownika. Mianowicie dzięki niemu będzie można zdalnie wyłączyć urządzenie czy pojazd, w jakim go zamontowano.

Dryl popatrzył na Dobrowolskiego z niedowierzaniem. Ten kontynuował:

– Przejmiemy kontrolę nad całym sprzętem. Wyobraź sobie, że jakiś kraj nas atakuje, a my przejmujemy jego sprzęt. Ich myśliwce spadają z nieba jak liście z drzew, czołgi stają w miejscu i nie dają się uruchomić, rakiety bojowe nie startują, silniki w okrętach zatrzymują się i dryfują. Ale najzabawniejsze jest to, że możemy przejąć także kontrolę nad tymi urządzeniami i zdalnie odpalać ich rakiety przeciwko ich miastom. Kurewsko realna wizja panowania nad światem. Jest tylko jeden problem. Otóż szanowny profesor, wiedząc, co zamierzamy zrobić z jego wynalazkiem, wysłał jedyny egzemplarz sterownika wraz z dokumentacją techniczną do swojego przyjaciela ze studiów. Sęk w tym, że ten przyjaciel mieszka w Iraku. Nasi chłopcy muszą jak najszybciej zdobyć to urządzenie. Dlatego, jak sam widzisz, życie jednego kapitana żandarmerii jest gównie warte. Jak zajdzie konieczność, to zniszczymy całą bazę wojskową. Ale liczę na to, że nie będziemy do tego zmuszeni. A teraz powinienes zapytać, co ty będziesz z tego miał.

– A więc co ja będę z tego miał? – zapytał komendant żandarmerii.

– W przyszłym tygodniu ten oto siedzący z nami minister proponuje prezydentowi i premierowi stworzenie holdingu. Nazwijmy go roboczo Polski Holding Zbrojeniowy. Będzie on zrzeszać wszystkie firmy z branży przemysłu zbrojeniowego. Na miejsce prezesa mam już jednego kandydata. Jesteś nim ty. Będziesz miał wpływ na wszystko, co trafia do wojska. Począwszy od niezbędników, poprzez piżamy, a na najnowocześniejszych elementach uzbrojenia kończąc. Będziesz miał w chuj pieniędzy, będziesz zwiedzał świat, spotykał się z szefami państw. Życie jak hrabia. Oczywiście będziesz musiał pamiętać, że tak samo łatwo zdjąć cię ze stanowiska, jak na nie wsadzić. Może nawet łatwiej. Wchodzisz w to?

– Gdzie mam podpisać ten cyrograf? – odpowiedział z uśmiechem generał Dryl.

– Nigdzie. Niczego nie musisz podpisywać. Wystarczy, że uściśniemy sobie dłonie. Teraz my musimy zniknąć. Ja lecę do siebie, a minister na spotkanie u premiera.

Pożegnali się, a komendant usiadł wygodnie w swoim fotelu, zastanawiając się nad pięknie rysującą się karierą.

Mężczyźni, którzy opuścili jego gabinet, stanęli przy windzie. Minister uśmiechnął się do generała.

– Mówiłem, że łatwo pójdzie? Na kasę każdy poleci. Własną matkę by oddał na organy za to, co mu obiecałeś.

– Ja mu coś obiecałem? Posiedzi miesiąc na stołku, a potem trzeba będzie się go pozbyć. Albo lepiej się go pozbyć, zanim na stołku usiądzie. Na tę chwilę za dużo osób na wysokich stanowiskach znika. Zdobądź próbkę

jego pisma. Trzeba list pożegnalny mu przygotować. Rozumiesz – żona mnie zdradza, zdefraudowałem fundusz operacyjny, ulubiona rybka zdechła, więc zmusza mnie to do strzelenia sobie w durną pałę. Ale to na spokojnie. Najpierw trzeba zdobyć sterownik, a potem wyślemy czyścicieli. Dobra, spieprzaj, dziadu, jak mawiał klasyk.

Pożegnali się i każdy udał się do swoich obowiązków. Generał Dobrowolski obserwował, jak minister wsiada do rządowej limuzyny i odjeżdża. Minister nie zauważył, że w ślad za nim ruszył dyskretnie stary ford mondeo, w którym siedziało dwóch mężczyzn. Ich twarze nie zdradzały emocji. Gdyby minister uważnie się im przyjrzał, rozpoznałby te osoby. Widział ich niespełna tydzień wcześniej, jak wychodzili z gabinetu Dobrowolskiego. Wtedy uśmiechnęli się do niego, ale ich oczy były zimne.

Generał tylko raz spojrzał na szybko oddalającą się rządową limuzynę i śledzącego ją forda. Po chwili wyciągnął telefon i wybrał numer znany tylko jemu. Głos po drugiej stronie odezwał się po pięciu sygnałach.

– *Zdrowstwuuj, towarzyszc.* – Głos po drugiej stronie brzmiał głucho.

– *Zdrowstwuujcie,* Siergieju Aleksandrowiczu – przywitał się generał.

– *Wsio w poriadkie? Naczinajem plan B?*

– *Da. Uże wsio choroszo. Naczinajem* – odparł Dobrowolski i przerwał połączenie.

Wiedział, że wieczorem odbędzie się spotkanie najwyższego kierownictwa „Zakonu”. Tradycyjnie jego miejscem będą budynki po byłym PGR-ze, które „Zakon” kupił dwa lata wcześniej.

Rozdział III

Irak, 1 kwietnia 2005 r., godz. 12:00

Zwoliński

Obserwowałem lądujące śmigłowce. Kątem oka dostrzegłem, że macha do mnie dowódca bazy. Podeszedłem do niego i po chwili razem spoglądaliśmy na manewry pilotów maszyn.

– Jest pan gotowy, panie kapitanie? – zapytał pułkownik Cisek.

– Na co, panie pułkowniku? – odpowiedziałem.

– Na przyjęcie naszych czcigodnych gości, oczywiście. Zastanawiam się, czy powinienem rozwinąć czerwony dywan. Przepraszam, kapitanie, ale wojsko już nie jest takie jak kiedyś. Kiedyś takie zagrywki góry były nie do pomyślenia. Chłabo się po jednostkach, czasem jakaś kontrola była. Czasem ktoś dostał zjebkę. Ale ogólnie panował porządek, szacunek do munduru. A teraz? Jakiś bubek, co został ministrem, traktuje pułkownika jak gówniarza. Świat zbliża się ku końcowi – stwierdził z żalem pułkownik.

– Niech pan się nie mazgai, panie pułkowniku. Zróbmy wszystko, aby ta wizyta była krótka i byśmy mogli po jej zakończeniu spojrzeć sobie w twarz bez

obrzydzenia – odparłem. – Mam nadzieję, że nie splamimy munduru żołnierza Wojska Polskiego.

Na te słowa pułkownik już się nie odezwał. Obserwowaliśmy trzy śmigłowce, które wylądowały na terenie bazy. Po chwili z jednej z maszyn wyszło kilku mężczyzn. Nie nosili mundurów. Wyglądali jak najemnicy. Twarze wyciosane jak z jednego kawałka kamienia. Zero emocji, zero jakichkolwiek ludzkich uczuć. Przez myśl przeszli mi bohaterowie *Uniwersalnego żołnierza*. Film ten opowiadał o żołnierzach przyszłości stworzonych z martwych komandosów. Goście bazy wyglądali podobnie jak tamci bohaterowie. Ubrani byli w spodnie bojówki w kolorze oliwkowym, białe T-shirty, kamizelki i wojskowe obuwie taktyczne. Każdy z nich miał broń w kaburze biodrowej, a oprócz broni osobistej także MP5. Przez chwilę zastanawiałem się, kim oni są. Gdy zaczęli iść w naszym kierunku, widać było, że przeszli szkolenie wojskowe. W ich ruchach dostrzegałem gotowość. Podejrzewam, że gdyby padł rozkaz z ust ich dowódcy, nie zawahaliby się użyć broni przeciw żołnierzom bazy. Ich zachowanie przypominało zachowanie żołnierzy GROM-u. Odniosłem wrażenie, że wraz z pojawieniem się tych mężczyzn pojawiły się kłopoty.

Po chwili cała szóstka przybyszów stanęła obok mnie i dowódcy bazy. Mężczyzna, który, jak sądziłem, był ich dowódcą, odezwał się:

– Pułkowniku, chodźmy z tej patelni do jakiegoś ustronnego miejsca.

– Nie chcę być nieuprzejmy, ale w Wojsku Polskim obowiązują odpowiednie regulaminy i wypadałoby oddać honory dowódcy bazy – stwierdził zaczepnie pułkownik.

– Pułkowniku. Jak będzie pański pogrzeb, to postaram się być pośród kompanii honorowej i mogę panu obiecać, że oddam panu honor. Strzelając salwę honorową.

Proponuję przestać się spierać o pierdoły. Proszę zaprowadzić nas do siebie – odpowiedział dowódca grupy.

Widząc, że rozmowa przybiera agresywny ton, postanowiłem się włączyć.

– Panowie, po co te sprzeczki? Przejdźmy do konkretów. Witamy na irackiej ziemi, w bazie Polskiego Kontyngentu Wojskowego – rzekłem, starając się przybrać przyjazną minę.

– Myli się pan, panie kapitanie. Nas tu nie ma. Nigdy nas tu nie było – odezwał się mężczyzna stojący obok dowódcy grupy gości.

Popatrzyłem w jego stronę i nasze spojrzenia się spotkały. Z jego oczu biło zimno. Twarz nie wyrażała żadnych emocji. Miał bliznę na czole. Zastanawiałem się, od czego powstała. Kątem oka zauważyłem, że pozostali z grupy niezauważalnie mocniej zacisnęli dłonie na MP5, a ich palce wskazujące nieznacznie przesunęły się na języki spustowe. Aby nie doszło do niepotrzebnej wymiany ognia, stwierdziłem:

– Panowie, nie ma sensu się spierać, gdzie ktoś jest, a gdzie go nie ma. Gdzie był, a gdzie go nie było. Jesteśmy w podobnej sytuacji. Wy nie chcecie tu być, a my nie chcemy, abyście tu byli. Jednak dostaliśmy wyraźne rozkazy i staramy się je wykonać. Z obrzydzeniem i niesmakiem. Postaramy się, abyście opuścili naszą bazę jak najszybciej. Zróbmy, co trzeba. Panie pułkowniku, proponuję, abyśmy zaprosili naszych

gości do pańskiego gabinetu i załatwili sprawę, jak najlepiej potrafimy. Co pan na to?

– Tak, kapitanie. Ma pan rację, załatwmy to. Zapraszam, panowie – rzekł dowódca bazy.

Pułkownik odwrócił się i wolnym krokiem udał się do swojego biura. Jego ruchy zdradzały, że został pokonany w słownej rozgrywce z dowódcą przybyłej grupy.

Pierwszy raz widziałem, by ktokolwiek okazał taki brak szacunku dla oficera dowodzącego bazą wojskową. Aby pułkownika tak zjechać, to albo ktoś musiał być wyższy stopniem, albo mieć tak mocne plecy, że nie obawiał się konsekwencji. Zobaczyłem, że z grupy sześciu najemników do biura ruszyło tylko dwóch: dowódca ich grupy i gościu z blizną na czole. Pozostali ustawili się przy wejściu, bacznie lustrując okolicę. Ich gesty były minimalne, wyszkolone. Broń w pełnej gotowości. Ruszyłem za dowódcą bazy i dwójką mężczyzn.

Dowódca usiadł przy swoim biurku, a nasza trójka zajęła miejsca na wprost. Pułkownik powoli zaczął bębnić palcami o blat w oczekiwaniu na dalszy rozwój sytuacji. Dowódca przybyłej grupy zapytał:

– Pułkowniku, na co czekamy? Czy przygotowane jest miejsce stacjonowania mojego oddziału?

– Szanowny panie, czekamy na przybycie mojego szefa sztabu – odpowiedział pułkownik.

– Pułkowniku, dość tych gier – odezwał się facet z blizną. – Miał pan wyraźne polecenie z samej góry. Nie przyjechaliśmy tutaj spotykać się towarzysko z pańskimi oficerami. Proponuję, aby posłał pan kogoś po tego oficera i niech on zaprowadzi nas do miejsca zakwaterowania.

Postanowiłem zareagować.

– Panowie – zacząłem spokojnym tonem – przede wszystkim my nadal nie wiemy, kim panowie są. Jestem tutaj przedstawicielem prawa, więc proponuję, aby panowie najpierw się przedstawili, okazali odpowiednie pełnomocnictwa. Rozumiem, że wasza misja ma klauzulę tajności, ale konieczne jest uwierzytelnienie was na miejscu w bazie.

– Kapitanie, jak wspomnieliśmy wcześniej, nas tu nie ma i nie było – odparł dowódca grupy najemników. – Jaki jest sens uwierzytelniania pobytu, skoro nie ma pobytu?

Jedyne, co musicie zrobić, to przekazać do naszego użytku kawałek bazy i się nie wtrącać.

W tym momencie otworzyły się drzwi biura i wszedł szef sztabu. Pułkownik Ambicki, niebędący świadkiem wcześniejszych rozmów z przybyłymi, wyciągnął do nich rękę na przywitanie.

– Pułkownik Ambicki, witam panów.

Żaden z mężczyzn nie podał ręki szefowi sztabu i zapadła niezręczna cisza. Ambicki z ręką zastygłą w powietrzu spojrzał na dowódcę bazy. Po chwili cofnął rękę.

– Panie pułkowniku – rzekł do pułkownika Ciska – wszystko przygotowane dla tych oto panów.

– A więc proszę ich zaprowadzić do wydzielonej dla nich części bazy – odparł Cisek.

– Proszę pamiętać, że żaden z pańskich żołnierzy nie ma prawa wejść na teren wydzielonej części obozu – powiedział dowódca najemników. – Przypominam to dla dobra pańskiego i pańskich ludzi, pułkowniku. Nie chcemy, aby komuś stała się krzywda.

Obaj najemnicy wstali i powoli opuścili biuro dowódcy bazy. Za nimi wyszedł szef sztabu.

Pułkownik Cisek ciężko odetchnął i zwrócił się w swoją stronę.

– Panie kapitanie, widział pan zachowanie tych mężczyzn. Co pan sądzi o tym wszystkim?

– Panie pułkowniku, zachowanie tych ludzi jest co najmniej nie na miejscu. Ich sposób bycia, gesty, ruchy... Wszystko wskazuje na to, że są najemnikami. Dziwię się, że nasz rząd, nasi przełożeni współpracują z takimi ludźmi.

– Cóż... Nasz rząd widocznie ma jakiś cel, aby pozwalać takim osobnikom na działanie – stwierdził dowódca. – Pamiętam, jak w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku w Kosowie też pojawiła się podobna grupa. Ale tamci byli dobrze wychowani. Okazywali szacunek. Uśmiechali się nawet. Przynajmniej potrafili się zachować w stosunku do wyższych oficerów.

– Pułkowniku, przepraszam bardzo, ale zauważyłem, że pan ciągle mówi o szacunku lub o jego braku wobec pana i pańskiego stopnia. Nie chcę być nieuprzejmy, ale wydaje mi się, że jest ważniejsza rzecz. Wszyscy możemy trafić na długie lata do więzienia, jeżeli cała ta śmierdząca sprawa wyjdzie na jaw. Czy pan rozumie powagę sytuacji? Dzwoniłem do swojego przełożonego w Warszawie i wiem, że mamy w pełni się podporządkować tym ludziom – stwierdziłem.

– Dzwonił pan do kraju? Nic mi o tym nie wiadomo – zdziwił się Cisek.

– Przepraszam, panie pułkowniku, ale nie mam obowiązku informować pana o każdej rozmowie ze swoim przełożonym. Nie ma to jednak znaczenia. Jedno

jest pewne. Te osoby są mocno ustosunkowane. A panu kto wydał rozkaz rano? – zapytałem.

– Rano miałem telefon od ministra naszego resortu. Zresztą na porannej odprawie mówiłem panom o sposobie rozmowy z nim – odpowiedział dowódca.

Po chwili usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Do środka wszedł pułkownik Ambicki. Widać było, że jest wzburzony.

– Panowie, co to za ludzie? Zaprowadziłem ich do ich części obozu, chciałem im pokazać wszystko osobiście. A tu nagle jeden z nich powstrzymał mnie ręką, a gdy zacząłem protestować, drugi odbezpieczył broń. Kurwa! Co to ma znaczyć, że w polskim obozie ktoś mierzy z broni automatycznej do szefa sztabu?

– Było przywyknąć, pułkowniku – powiedziałem. – Pozwolą panowie, że odmelduję się do swoich obowiązków lub, jak sugerował mi mój dowódca, wezmę leżaczek i się poopalam, bom coś blady. W razie potrzeby jestem u siebie.

W drodze do swojego biura zacząłem analizować sytuację. Kilku ludzi, z wyglądu i zachowania najemnicy. Pełna tajemnica odnośnie do ich przylotu. Wydzielony fragment obozu do ich dyspozycji. I najważniejsza rzecz, na którą dopiero teraz zwróciłem uwagę. Przyleciały trzy śmigłowce, a pasażerowie wysiedli tylko z jednego. Zastanawiające. Po co lecieć tyloma maszynami, skoro wszyscy zmieścili się w jednej? Zacząłem podejrzewać, że gości jest więcej, niż nam się wydawało. Pytanie tylko dlaczego. Może ktoś chce dokonać sabotażu na terenie bazy? Może jak wszyscy będą spać, to ktoś zaatakuje bazę? Postanowiłem działać.

Po wejściu zażądałem połączenia z biurem dowódcy bazy. Po chwili usłyszałem głos:

– Pułkownik Cisek, dowódca Polskiego Kontyngentu Wojskowego.

– Panie pułkowniku, przepraszam, że przeszkadzam, ale dopiero po wyjściu od pana coś mi przyszło do głowy. Czy zwrócił pan uwagę, że wszyscy najemnicy wysiedli z jednego śmigłowca, a przyleciały trzy?

– Rzeczywiście, kapitanie. Nie zwróciliśmy na to uwagi. Jak pan myśli, co to może oznaczać? – zapytał pułkownik.

– Nie chcę zgadywać, ale możliwości jest kilka. Może gości jest więcej, niż nam się ujawniło. Pytanie, czy wykonują jakąś misję poza bazą, czy może my jesteśmy ich misją. Może mają coś zdobyć i pozostałe śmigłowce będą służyć jako środki transportu? Jak mówiłem, nie chcę zgadywać. Jedyne, co mogę zaproponować, to podwojenie liczby patroli i postawienie w stan gotowości pododdziału GROM-u porucznika Strzelczyka. Może się okazać, że nasi goście ściągną nam na głowę kłopoty – stwierdziłem.

– Ma pan rację, kapitanie. Zaraz wydam odpowiednie rozkazy. Dziękuję, Marku – rzekł pułkownik.

Byłem w szoku. Dowódca bazy po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu. Rzecz niespotykana. Jednak ten dzień był wyjątkowy.

– Panie pułkowniku. Jesteśmy razem w tym gównie i razem musimy się z niego wydostać. Teraz się odmelduję.

Po zakończeniu rozmowy zacząłem się zastanawiać, co może być tak wartościowe w tym kraju, że rząd wysłał taką ekipę. Złoto Saddama? Raczej nie, bo już dawno ukradli je jankesi. Broń chemiczna lub biologiczna? Też nie. Jej nigdy nie było. Chodziło tylko o pretekst do inwazji dla sojuszników zza oceanu. Cokolwiek to było, to miało dużą wartość.

Irak, 1 kwietnia 2005 r., godz. 12:26

„Duch”

Po wejściu do wydzielonej części bazy grupa „Konara” zaczęła sprawdzać sprzęt. Ja podłączyłem urządzenie szyfrujące do komputera. Według informacji, jakie przekazali nasi informatycy, urządzenie to każdą wiadomość mailową szyfrowało w sposób zmienny algorytmicznie. Nie było możliwości złamania szyfru. To znaczy możliwość była, ale zajęłoby to około stu lat, biorąc pod uwagę zaawansowanie współczesnej technologii. Każdy mail, każde połączenie komunikatorem było dzielone na jakieś fragmenty i potem podobne urządzenie po drugiej stronie składało wszystko w całość. Cóż, dla mnie to czarna magia, ale skoro firma na tym pracowała, to znaczy, że połączenia na sto procent były bezpieczne. Po przygotowaniu sprzętu zwróciłem się do „Konara”:

- Słuchaj. Nie podoba mi się ten kapitan.
- Co ci się nie podoba? Nie w twoim typie, żuczku? – odpowiedział „Konar”.

„Wacek” parsknął śmiechem.

– Ooo... Czyżby „Duch” był ciotą, że faceci mu się podobają? W sumie nigdy nie widziałem cię z dupą.

– A ja nie widziałem twojego mózgu, co nie znaczy, że go nie masz – odpowiedziałem, po czym zwróciłem się do dowódcy: – Ten kapitan... Zauważyłeś coś dziwnego? Niby uprzejmy. Niby starał się załagodzić ton rozmowy z pułkownikiem. Ale jednak coś w jego oczach mówiło, że nie jest to szczere. Podejrzewam, że teraz siedzi gdzieś i zastanawia się, po chuj tu jesteście.

– Oj, żuczku. Nie przejmuj się tym. Wykonamy swoją robotę i znikamy. A kapitan będzie się całe życie zastanawiał, co tu się wydarzyło – stwierdził „Konar”, po czym zwrócił się do „Wezyra”: – Żuczku, sprawdziłeś apteczkę? Wszystko jest?

– Ej, wkurwiasz mnie już – zirytował się „Wezyr”.
– Wiem, co mam robić. Zachowujesz się jak mały, co organizuje imprezkę z dupami i po dziesięć razy sprawdza, czy ma gumy. A od rana w niej chodzi.

Cała nasza grupa zarechotała na te słowa. Tylko „Konar” rzekł poważnie:

– Słuchaj. Jak dla mnie, to możesz te dupy walić w OP-1. Wszystko ma być gotowe i sprawne, jak już będziemy mieli przesyłki. Chcę, aby informacje o pobycie głównego celu uzyskać w ciągu godziny. Potem chcę przejąć cel i spierdalać do domu. A wiesz czemu? Nie wiesz. Więc ci powiem. Żonie powiedziałem, że jadę w delegację na tydzień do Katowic. I wiesz co? Nie mam zamiaru zbyt się opalić na tej jebanej irackiej pustyni. Co powiem żonie? Że w Katowicach się tak opaliłem? A poza tym, jak już mówiłem, córa ma w tym roku maturę. Ponoć ma też chłopaka. Nikt ważny. Zwykła pizda w

rukach. Muszę pogonić łebka. Chłop to chłop, a nie lalus w przyciasnych spodenkach.

– Ha, ha! „Konar” będzie miał kolejną szparę w domu! Żonę, córę i jej gogusia. Tylko się nie pomył. A ten łebek też goli nogi? – zaśmiał się „Wacek”.

– A skąd, do kurwy nędzy, mam wiedzieć? Pewnie goli. Jedno, co o nim wiem, to to, że więcej wali sobie zdjęć dziennie, niż ja konia w życiu zwałem.

– „Konar”, pamiętaj, że jest ustawa o ochronie zwierząt i nie można znęcać się nad nimi. Walenie konia podlega pod paragraf – wtrąciłem.

Ponownie cała grupa zarechotała, a dowódca wraz z nami. Po chwili major przestał się śmiać i zupełnie poważnie powiedział:

– Dobra. Pośmiali się? Sprawdzić broń, sprawdzić sprzęt. Koniec laby. Trzeba zająć się zadaniem. Jest godzina 13:15. Na czujce zostają „Arni” i „Świniak”. Reszta spać. Zmiany co trzy godziny. Ostatnią czujkę mam ja i „Duch”. Na 19:00 wszyscy gotowi. Czy to jasne? A więc rozejść się.

Ty, „Duch”, poczekaj chwilę.

– Jasne – powiedziałem.

Poczekaliśmy, aż zostaniemy w pomieszczeniu sami. Dowódca spojrzał mi uważnie w oczy.

– Słuchaj, mam do ciebie prośbę i przy okazji zadanie. Ale niech zostanie to tylko pomiędzy nami. Wiemy tylko ty, ja i sam szef. „Wielki” podejrzewa, że w naszej grupie jest kret. Pamiętasz wiadomości w mediach o nurkowaniu gościa z Orlenu? Wszystko jak należy, a tutaj nagle jeden dziennikarzyna zaczyna się zastanawiać, jak możliwy jest taki wypadek. Założyliśmy mu smycz, od kilku dni chłopaki za nim jeżdżą, telefony są na

podśluchu. Wiemy tylko z techniki, że gość dostał jakieś info od kogoś od nas. Za dużo szczegółów.

– W czym problem? Zniknijcie go – stwierdziłem.

– Taki jest zamiar, tylko trzeba najpierw znaleźć kreta. Znikniemy dziennikarza, to kret skontaktuje się z kolejnym. Jak będziemy tak wszystkich znikać, to w tym kraju nie będzie prasy ani telewizji.

– Dobra, a skąd pewność, że to ja nie jestem kretem? – zapytałem.

– A jesteś? – Dowódca spojrzał mi w oczy. Spojrzenie było chłodne.

– Myślisz, że jakbym był, tobym się przyznał? Chłopie! Skoro rozmawiasz ze mną, to chyba już sprawdziliście, że nie jestem. No chyba że... takie rozmowy przeprowadzasz z każdym z nas i sondujesz odpowiedzi. Czy kogoś z „Wielkim” podejrzewacie? – zapytałem.

– Jest podejrzenie na „Arniego”. Jego telefon dwa razy logował się w pobliżu domu pismaka. Poza tym „Arni” zaczął ostatnio wrzucać coś cięższego niż zielsko. W jego domu znaleźliśmy woreczki z heleną. Rozumiem, że można się odstresować, ale prawie pół kilo to za dużo. Albo ćpa na potęgę albo diluje. Która opcja by nie była – to niebezpieczne dla organizacji. Jak ćpa, to może dużo gadać, może potrzebować kasy, więc łatwo się sprzedać.

– Jakie jest moje zadanie? – spytałem.

– Na tę chwilę obserwuj go. Jak zauważysz coś dziwnego, to melduj.

– Okej. A kiedy będzie czyszczony, w razie czego? Tu czy w kraju?

– W kraju. Tu mamy szybko wykonać zadanie i znikać.

– Racja. W kraju łatwiej. Jakby co, to będę meldował – odpowiedziałem.

Major uśmiechnął się i wyszedł z pomieszczenia.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem. Ktoś donosił mediom o naszych działaniach. Odkąd byłem w służbie, nigdy nie miało to miejsca. Służyłem już sześć lat i nigdy nie było kreta. Zdarzały się przypadki, że ktoś za dużo pił i stwarzał zagrożenie, że po pijaku coś chlapnie. Ktoś mógł mieć dług i być podatny na szantaż. Wszystkie te przypadki były załatwiane. Pijak trafiał do mniej ważnych prac, a potem znikał. Mieliśmy zaprzyjaźnionych lekarzy psychiatrów. Pijak trafiał do wariatkowa, niby na odwyk, i już tam zostawał. Faszcerowany lekami psychotropowymi stawał się warzywem. Ale przynajmniej rzucał picie. Z dłużnikami działało trochę inaczej. Firma spłacała ich dług. Taki dłużnik był szczęśliwy, a po kilku miesiącach znajdowano go w bramie. Prokuratura zawsze umarzała jako upadek ze schodów po pijaku. Raz się zdarzył wypadek taki, że denat leżał przykryty własną kurtką kilka metrów od schodów, a jego krew znaleziono przed bramą. Dziwny upadek, ale prokurator dostał nowe auto i zrobił dużo, aby sprawę zamknąć. Rodzina trochę krzyku robiła, że denat nigdy nie pił, ale patolog podmienił próbki krwi i w papierach wszystko się zgadzało. Wielu odeszło z firmy, ale nikt nie zdradził z premedytacją. Jaka mogła być motywacja kreta? Kasa? Raczej nie – zarabiamy dobrze. Wyrzuty sumienia? Też nie. Sumienia mamy czyste, bo nieużywane. Chęć skończenia z taką robotą? Jeśli tak, to zaraz po tym, jak „Konar” się upewni co do swoich podejrzeń, kret spełni swoje marzenia. Szkoda tylko, że jako nieboszczyk. Ale to nie było moje

zmartwienie. Jeśli ktoś zdecydował się zdradzić, to musiał ponieść wszelkie konsekwencje swoich czynów. Ze służb nigdy się nie wychodzi.

Można udawać, że się udało zakończyć ten etap, ale służby zawsze się o człowieka upomną. Osobiście miałem nadzieję, że sam nigdy nie będę znajdował się w sytuacji, jaka czeka zdrajcę. Można ukrywać się przed kolegami ze służby. Można zmieniać wygląd. Ale zawsze człowieka znajdą. Znajdą i znikną. Cóż, nie moja sprawa, trzeba położyć się i odpocząć. W nocy czekała nas kupa roboty.

Krzekotów, okolice Warszawy, 1 kwietnia 2005 r., godz. 17:52

Generał, jadąc na spotkanie z członkami „Zakonu”, zastanawiał się, który z jego ludzi donosi mediom. Po otrzymaniu informacji o zdradzie sprawdził w pierwszej kolejności swoich najbardziej zaufanych ludzi: majora Rechulskiego – „Konara”, podpułkownika Andrzeja Kamysza – „Kamyka”, kapitana Krzysztofa Miąłkowskiego – „Miąłkiego”. Każdy z nich miał z kolei sprawdzić swoich najbardziej zaufanych ludzi. U „Kamyka” i „Miąłkiego” zdrajcy nie znaleziono. U „Konara” największą wątpliwość było wobec „Arniego” i „Ducha”. Pozostali byli poza podejrzeniem.

„Arni” – dotąd sumienny gość, typowy zawodowiec. Ostatnio tylko miał jakieś problemy z dragami. Pół kilo heroiny w domu, trochę dużo. A skoro ćpał, to stał się mało ostrożny. Dużo nie brakowało, by ktoś go

podkablował policji, a wtedy ten, trafiając na dołek, mógłby się wysypać. Może gdzieś zostawił odciski palców i po sprawdzeniu coś mu przyklepią. Pod wpływem nacisków mógłby chcieć pójść na układ. Świadek koronny, który może starać się pogrążyć kolegów. To nic, że szybko by poznali treść jego zeznań. Nic, że szybko by się utopił w wannie. Smród by pozostał. Jedyną rzeczą, która go jak na razie obciążała, było logowanie jego komórki. Nawet jeśli zdrajcą okazałby się „Duch”, to i tak kariera „Arniego” się skończyła. Po przylocie chłopaków z misji, „Konar” będzie musiał zniknąć kolegę.

Co do „Ducha”, to niby wszystko wydawało się w porządku. Aż za bardzo w porządku. Dołączył do nich sześć lat temu. Zanim trafił do służby, został gruntownie sprawdzony. Pochodził z rodziny robotniczej. Rodzice na rencie. W domu kokosów nie miał. Mieszkał sam w wynajętej kawalerce. Konta w banku nie posiadał. Poza służbą nie utrzymywał z nikim kontaktów. Dziewczyny nie miał, czasem trafiały się jakieś dupy, ale nic stałego. Kiedyś miał dziewczynę, był w niej zakochany. Tuż po maturze wyprowadziła się do innego miasta. „Duch” jej szukał, ale nie udało mu się trafić na właściwy ślad. W sumie nic dziwnego, że jej nie znalazł – „Konar” umiejętnie podrzucał mu fałszywe tropy. „Duch” nie wiedział, że ma dzieciaka. Chłopak miał teraz siedem lat. W papierach – ojciec nieznany. Dziewczyna kochała „Ducha”, ale jej ojciec, szanowany lekarz, nie akceptował tego związku. Lekarz pracował dla nich i zaproponował, by w ramach przysługi pozbyli się ojca jego wnuka. Oni jednak, zamiast go zlikwidować, zwerbowali go i wyprali mu mózg. Zrobili z niego jednego z lepszych chłopaków

w służbie. Problem w tym, że każdy miał jakieś problemy, a „Duch” nie. Po robocie czasem wyskoczył na piwo, ale szybko się zwiżał i wracał do domu. W domu siedział po ciemku i patrzył w okno. Była jeszcze jedna rzecz warta zastanowienia. „Duch” na balkonie trzymał w donicze drzewo. Wyhodowany z żołędzia dąb. Kurwa, nikt nie trzymał dębów na balkonie, a on tak. Zastanawiający przypadek. Albo „Duch” był sprytnym kretem, albo tylko dziwakiem...

Z tych rozmyślań generał został wyrwany przez swojego kierowcę, który oznajmił mu, że są na miejscu. Dobrowolski rozejrzał się. Zobaczył kilka zaparkowanych samochodów, a wokół kręcili się uzbrojeni w broń maszynową jego ludzie. Kątem oka zerknął w kierunku wysokiego zbiornika na wodę. Wiedział, że na samej górze siedzi dwóch jego ludzi. Obserwator i snajper. Obaj czekali na znak od generała. Dobrowolski wiedział, że jest osobą ważną w organizacji, ale mimo wszystko dla pewności się zabezpieczał. Gdyby wyczuł, że jego życie jest zagrożone, z pewnością da znak swoim ludziom. Z uśmiechem na twarzy nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Jakkolwiek z zewnątrz budynku dawnego PGR-u wyglądały fatalnie – odrapane ściany i sypiący się tynk nie świadczyły o luksusie wewnątrz – to po wejściu do środka człowiek czuł się tak, jakby znalazł się w innym świecie. Ściany obite były materiałem wygłuszającym dźwięki, działało też kilka urządzeń zagłuszających ewentualne podsłuchy. Istna klatka Faradaya. Na środku stał wielki okrągły stół. Prawie jak u króla Artura i jego rycerzy. Generał rozejrzał się po sali i zobaczył, że wszyscy z zarządu „Zakonu” są już na swoich miejscach.

W sumie było ich siedmiu. Usiadł i rozejrzał się po członkach zarządu. Po jego lewej stronie siedział Elja Grundmann – były szef wywiadu izraelskiego Mossad, zaraz za nim Mark Hilfend – dyrektor Banku Narodowego Szwajcarii. Wśród obecnych byli jeszcze Rudolf Hoffman – emerytowany pułkownik Stasi, służby bezpieczeństwa NRD, David Amstad – szara eminencja w USA, jeden z doradców prezydenta Stanów Zjednoczonych, Iwan Karcew – pułkownik wywiadu wojskowego GRU oraz Siergiej Ichmatow – były generał GRU, osoba trzęsąca zarówno wywiadem wojskowym, jak i cywilnym Rosji, z którego zdaniem liczyli się na Kremlu. Cały zarząd organizacji był w komplecie.

Teoretycznie każdy z obecnych miał takie same prawa i zdanie każdego było tak samo ważne. Wszyscy jednak wiedzieli, że najważniejszą osobą był Ichmatow. Każdy z zarządu miał swoich ludzi rozsianych po całym świecie, dzięki czemu mogli wpływać na najważniejsze decyzje, jakie zapadały na arenie międzynarodowej. Oczywiście, jak w każdej organizacji, zawierane były chwilowe przymierza, aby przeforsować jakieś ważne dla „Zakonu” decyzje. Mimo że zawierano różne sojusze, to jednak nigdy nie zdarzyło się, aby Karcew miał inne zdanie niż Ichmatow. Dobrowolski podejrzewał, że za nimi stoi jeszcze jakaś osoba. Lub może nawet jakaś grupa osób. Zresztą każdy z obecnych członków zarządu miał zapewne swoich protektorów, ewentualnie osoby chcące pozostać w cieniu. Tylko Dobrowolskiego nikt nie kontrolował. Albo tylko tak mu się wydawało. Z dotychczasowych spotkań zarządu organizacji Dobrowolski wyniósł jedną pewność. Organizacja zawsze robiła to, co było na rękę Rosjanom. Generał

zauważył jeszcze jeden fakt. Ichmatow rzadko się odzywał. Zawsze wypowiadał się Karcew, a Ichmatow uważnie obserwował zgromadzonych. Także i teraz Karcew ruchem ręki uspokoił zebranych, a po zapadnięciu ciszy odezwał się spokojnym głosem:

– *Zdrawstwujcie*, witam wszystkich serdecznie. Dziś mamy wyjątkowy dzień. Dzień, w którym nasz cel powoli zaczyna się ziszczać. Pozwolicie panowie, że chwilę was ponudzę. – Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Dobrowolski spojrzał kątem oka na Ichmatowa i zauważył, że ten także zaczął się delikatnie uśmiechać. Karcew kontynuował:

– Towarzysze. Przyjaciele. Bracia... Kilkadziesiąt lat temu żył sobie towarzysz Stalin. Towarzysz Stalin był mądry.

Towarzysz Stalin chciał rządzić światem. Jedynym błędem towarzysza Stalina było to, że rządy nad światem chciał zdobyć za pomocą siły. Po śmierci towarzysza Stalina dwa kraje wzięły się za łby. Oba chciały dominować i groziły sobie masową zagładą. Problem był tylko taki, że gdyby bomby wybuchły, to zarówno towarzysze radzieccy, jak i kowboje ze Stanów umarliby w wyniku zagłady. My wzięliśmy lekcję z historii. Będziemy rządzić. Ale nie zginiemy od wybuchów, grzybów atomowych i klęsk. Panowie, pokrótce nakreślę wam plan zdobycia pełni władzy.

Karcew rozejrzał się po twarzach zgromadzonych. Wszyscy słuchali go w skupieniu. Kontynuował:

– Mamy rok 2005. W ciągu najbliższych dziesięciu, może piętnastu lat będziemy w stanie zdobyć szczyty władzy. Umiejscowimy swoich ludzi we władzach USA,

Rosji, Chin i każdego innego liczącego się kraju. Rozpętamy wszelkiego rodzaju kataklizmy, epidemie, wojny. Bracia, duża część z was zastanawiała się, czemu nasza organizacja nazywa się „Zakon”. W wielu zakonach obowiązują śluby milczenia. My też musimy milczeć. Poza tym nazwa ta jest żartem ze strony naszego brata Siergieja. Brat Siergiej jest mało wierzący, a przynajmniej nie wierzy w religię jakichś bogów – czy to prawosławnych, czy zachodnich, czy innych islamskich. Więc żartem z historii religijności ludzi europejskich jest to, że na czele organizacji, która spowoduje koniec jakichkolwiek religii, stoi ateista. Ot, taki żart towarzysza Siergieja. Powiem teraz panom, jakie mamy plany. Ludzie obecnego tu generała Dobrowolskiego – Karcew spojrzął w stronę generała – mają za zadanie zdobyć pewien wynalazek. Wynalazek ten pozwoli nam zapanować nad potencjałem militarnym świata. Ale zanim trafi do produkcji i zanim wszystkie armie świata będą z niego korzystały, minie jakieś dziesięć lat...

– Dlaczego tak długo? – zapytał Dobrowolski.

– Generale, bracie, spokojnie – odpowiedział Karcew. – Wszystko jest pod kontrolą. Nikt nie kupi na potrzeby armii niesprawdzonej rzeczy. Plan jest taki: zakładamy firmę Eurocomp Ltd. Firma ta specjalizuje się w produkcji wynalazków z dziedziny informatyki, elektroniki. Firma zdobywa powoli rynki światowe. My ją ciągle dokarmiamy milionami dolarów. Po jakimś czasie nasza firma zdobywa kilka kontraktów wojskowych. My wywołujemy drobne konflikty zbrojne, w których sprzęt naszej firmy sprawdza się w warunkach bojowych. Nasi przyjaciele za oceanem lobbują w Departamencie Obrony zakup naszych urządzeń do ich

najnowocześniejszych systemów. Myślimy, aby stworzyć w Europie system rzekomo chroniący państwa NATO przed Rosją. Coś na kształt tarczy. Taka tarcza antyrakietowa. O, to nawet dobrze brzmi. Więc nasi przyjaciele zza wielkiej wody montują tam nasze urządzenia. Z kolei nasi przyjaciele w Rosji także lobbują za używaniem sprzętu i elementów elektronicznych naszej firmy. A potem inne rynki ustawiają się w kolejce do nas. Zarabiamy miliardy i mamy rękę nad potencjałem militarnym całego świata. – Karcew odchrząknął i napił się wody.

Zebrani milczeli. Wiedzieli, że jeszcze nie skończył.

– To jest plan A – mówił dalej Karcew. – Z kolei plan B przewiduje kolejne kroki. Zamierzamy wywołać w Europie kilka epidemii różnych chorób, aby zmusić społeczeństwa do zaszczepienia się pewną szczepionką, rzekomo leczącą wirusa. Wraz z tą szczepionką do organizmu wprowadzony zostanie wirus. To wynalazek naszych rosyjskich inżynierów. Wirus Z1X34. Powoduje, że ludzie stają się bezwolnymi maszynami. Takimi zombie. Oczywiście nie od razu, a dopiero po kontakcie z pewną substancją, detonatorem. W momencie gdy ta substancja zostanie wprowadzona do organizmu, jej reakcja z wirusem wywołuje u zarażonego nieznane dotąd w historii medycyny objawy. Silne bóle głowy to początek. Wzrasta gwałtownie poziom agresji, zanikają normy moralne, próg odczuwania bólu ustawia się na takim poziomie, że można człowieka kroić na centymetrowe paski, a on nie będzie świadomy, że ktoś go kroi. Po wykonaniu swojego zadania wszystkie te bezwolne stworzenia zostaną zlikwidowane. Jakie jest ich zadanie? Tutaj dochodzimy do planu C. Na tym etapie

planujemy wywołać sztuczny exodus ludzi do Europy, najlepiej radykalnych bojowników islamu. Wcześniej stworzymy organizację na kształt Al-Kaidy. Kilka drobnych konfliktów w rejonie Półwyspu Arabskiego spowoduje masową migrację uciekinierów do Europy. Będziemy finansować ich podróże. Pośród fali uciekinierów umieścimy setki, tysiące zamachowców. W Europie rozpęta się piekło terroryzmu. Nie będzie bezpiecznego miasta. Czego nie załatwią terroryści, to wysadzimy my, zwalając winę na nich. Jak ludzie zaczną się obawiać uchodźców, to wtedy uruchomimy nasze bezwolne zombie i rozpętamy rzeź. Brat będzie mordował brata, nikt nie będzie bezpieczny. Gdy chaos rozpęta się na dobre, spowodujemy, że wybuchnie konflikt na skalę dotąd niespotykaną. I my będziemy rozdawać karty, mając w rękach cały potencjał militarny tego świata. Jak podoba się panom taka wizja przyszłości? – zapytał Karcew.

Wszyscy nadal milczeli. Każdy rozważał słowa mówcy. Każdy zastanawiał się nad tym, co przed chwilą usłyszał. Dobrowolski zaczął analizować, jakie szanse powodzenia mają owe plany, na ile są w ogóle realne. Jego wątpliwości udzieliły się innym członkom zarządu. Pierwszy odezwał się Elja Grundmann:

– Rozumiem, że my będziemy bezpieczni? Jak rozpęta się rzeź niewiniątek w Europie, jak brat będzie mordował brata, to my będziemy w jakichś schronach?

– Drogi żydowski przyjacielu, wszystko jest przygotowane. Jakiś czas temu „Zakon” zakupił przy pomocy obecnego tutaj Marka Hilfenda niedużą wyspę. Tam się schronimy. Oczywiście wszystko jest powoli przygotowywane. Jest tylko jedna rzecz, która może cię

zasmuci. Powtórzy się holokaust twojego narodu wybranego – powiedział z uśmiechem Karcew.

– Chuj z narodem wybranym. Bardziej mnie interesuje, ile na tym zarobię – rzucił ze śmiechem Grundmann.

– A ta substancja, co ma aktywować wirusa, to w jaki sposób dostanie się do organizmu? – spytał Amstad.

– Wraz z wodą pitną. Gdy przyjdzie pora, to dodamy jej do wodociągów w każdym większym mieście. Wystarczy dziesięć mililitrów, by aktywować wirusa u pięćdziesięciu tysięcy ludzi – odpowiedział Karcew.

– A czy istnieje jakieś antidotum na wypadek przypadkowego zainfekowania naszych ludzi? – dopytywał Amstad.

– Istnieje, towarzyszu Amstad. Każdy z naszej organizacji dostanie środek deaktywujący wirusa – odpowiedział Karcew uśmiechając się do Amstada. Uśmiech był spowodowany także faktem, że już nie po raz pierwszy okłamał członków zarządu organizacji. Nie było żadnego antidotum i nikt nawet nie pomyślał, aby je stworzyć. Ale o tym wiedział tylko on i Ichmatow. Wymienił porozumiewawcze spojrzenie ze swoim mentorem. – A więc, panowie, napijmy się teraz szampana. Co prawda wolę wódkę, ale szampan bardziej pasuje.

Po chwili na sali pojawili się ludzie Dobrowolskiego, wnosząc kilka butelek szampana i lampki. Na stole pojawiło się także kilka butelek wódki i zakąski. Atmosfera się rozluźniła. Utworzyły się małe grupki, a Dobrowolski zauważył, że jest bacznie obserwowany przez Ichmatowa.

Po chwili do generała podszedł Karcew i poprosił go o wyjście na chwilę na zewnątrz. Po opuszczeniu budynku Karcew zaczął rozmowę:

– Drogi przyjacielu, jakie wy macie problemy w tej Polsce?

– My? Żadnych – odpowiedział szybko generał, ukradkiem zerkając w kierunku, gdzie czekał snajper. Strzelec miał być polisą ubezpieczeniową Dobrowolskiego, ale generał miał jakieś dziwne przeczucie, że to on jest w środku lunety. Szef WSI delikatnie się wzdygnął.

Wydawało się, że zrobił to niepostrzeżenie, jednak Karcew powiedział:

– Zimno, towarzyszu generale. Zatrząś się towarzyszu. Może wróćmy do środka.

Nie czekając na odpowiedź, Karcew chwycił za klamkę i otworzył drzwi. Po wejściu generał zauważył, że Karcew wymienił się spojrzeniami z Ichmatowem. Generał pierwszy raz od wielu lat poczuł obawę o swoje życie. Zaczął się zastanawiać, czy nie jest za małym graczem w tej rozgrywce. Jego rozterkę przerwał Karcew.

– Towarzysze. Jest jeszcze jedna sprawa. Bracie Dobrowolski, jakie wy macie problemy w Polsce?

Dobrowolski zaczerwienił się i szybko odpowiedział:

– My? Żadnych. My nie mamy żadnych problemów.

– *Oj, polaki, polaki.* Wy żadnych problemów nie macie. A wybory w tym roku macie? – rzekł ze śmiechem Karcew.

– Mamy. Tak, w tym roku są wybory do parlamentu i wybory prezydenckie – odparł generał.

– A kto u was wygra te wybory? – dopytywał się Karcew.

– A kto ma wygrać, towarzyszu Karcew? – zapytał z drżeniem w głosie Dobrowolski.

– A to u was nie ma demokracji? To nie ludzie wybierają? – zaśmiał się Karcew.

Wszyscy obecni z uwagą obserwowali, jak szef WSI wije się jak wąż, aby udzielić odpowiedzi. Po chwili generał się odezwał:

– Tak. Ludzie wybierają.

– A więc, generale, trzeba wiedzieć, jacy ludzie wybierają, i spowodować, aby wybrani byli ci, co mają zostać wybrani. My z naszej strony proponujemy, aby wygrała partia bliźniaków. Co wy na to, generale? – zapytał Karcew.

– Partia bliźniaków może wygrać. A kto prezydentem? – dopytywał nieśmiało Dobrowolski.

– Bliźniak – odezwał się niespodziewanie Ichmatow.

– Bliźniak? Który? Szans nie ma żadnych. Do parlamentu może się uda im dostać z pierwszego miejsca, ale w wyborach prezydenckich żaden z nich nie ma szans – odpowiedział szybko szef WSI.

– Oj, bracie. Zróbmy tak. Prezydentem zostanie jeden z bliźniaków. Drugi wygrywa wybory parlamentarne. Tylko jeden warunek – na prezydenta startuje ten mniej krzykliwy. I wygrywa. Wygrana bliźniaka jest możliwa pod jednym warunkiem – drugi nie zostanie premierem. Dwóch na najwyższych stanowiskach to przesada. To tak, jakby towarzysz Stalin na swojego zastępcę wziął mumię Lenina z mauzoleum. Zgoda? – zaproponował Karcew.

– Z mojej strony zgoda. Pytanie, czy naród się zgodzi – stwierdził cicho generał.

– Naród... Tak. Naród jest ważny. Bez obawy, towarzyszu. My bierzemy to na siebie. Wy tylko musicie się przebadać. Chyba chorzy jesteście, bo zbledliście – rzekł z pewnym rozbawieniem Karcew.

Godzinę później, wracając do domu, Dobrowolski zastanawiał się, jak długo „Zakon” utrzyma go przy życiu. Wyglądało na to, że wyrok już zapadł – teraz tylko czekali na moment egzekucji. Generał zastanawiał się, w jaki sposób się go pozbędą. Samobójstwo? Wypadek? To najprostsze rozwiązania. Chociaż znając poczucie humoru Karcewa, mogli wymyślić coś ekstra. Pamiętał z historii, że Stalin kazał zoperować jednego ze swoich bliskich współpracowników, mimo że temu nic nie dolegało i pomimo wyraźnych protestów pacjenta. Cóż, operację wykonano. Pacjent niestety jej nie przeżył. Dobrowolski podejrzewał, że Karcew wzorem swojego idola może wymyślić coś podobnego. Postanowił jednak, że nie ułatwi mu zadania. Po chwili generał zaczął się zastanawiać, co mogło być powodem takiej decyzji organizacji. Zawsze był lojalny, nigdy nie podejmował działań bez zgody zarządu. Na spotkaniach zawsze starał się mieć takie samo zdanie jak Karcew i Ichmatow. Gdzie popełnił błąd? Pomimo wysiłków szef WSI nie potrafił sobie przypomnieć żadnej sytuacji, która mogłaby spowodować chęć pozbycia się go z organizacji. Spojrzał na zegarek. Była 20:22. Jego ludzie powinni już mieć jakieś informacje korzystne dla niego.

